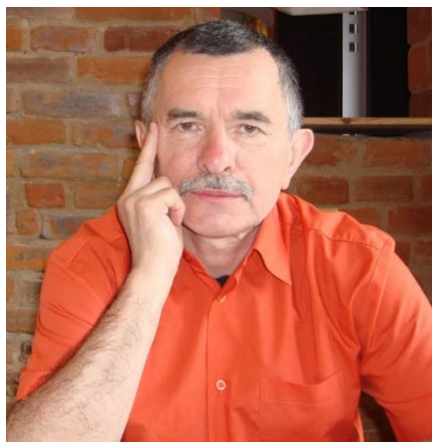


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (77)

(fragmenty)



Wspólnota wyszła z morza

Jeden dzień przeznaczamy na objazd Zeelandii.

Zeelandia to region nadmorski, wielokrotnie zalewany, zamieszany przez najharszych Holendrów, dla których nie ma rzeczy niemożliwych. Nigdy nie poddali się depresji, morzu, wiatrowi. W 1953 morze załało całą tę prowincję, zginęło 3,5 tysiąca ludzi, wydawało się, że nie powróci już życie na ten teren z użytkami rolnymi, domami. Katastrofa powodziowa zmobilizowała ich jednak do najwyższego wysiłku. Przez kilkanaście lat trwały prace melioracyjne pochłaniające niewyobrażalne koszty, które spowodowały, że Holendrzy znowu wydarli morzu ogromne połacie łąd, osuszając je i czyniąc użytecznymi polderami, na których doskonale – nawet bez nawozów sztucznych – udają się uprawy pszenicy, ziemniaków, szparagów i warzyw.

Hans, z wykształcenia architekt, chce mi pokazać i objaśnić na żywym przykładzie cały ten system inżynieryjny, uzmysławiając pomysłowość jego rodaków, ogrom wysiłków włożonych w sypanie wałów, fos, fortyfikacji, w budowę śluz, falochronów, kanałów, bram zamykanych-otwieranych, wymyślnych konstrukcji podwodnych, mających na celu zabezpieczenie terenu leżącego nieraz 20,30, a nawet 50 metrów poniżej poziomu morza. Dodajmy, że w kraju wiatraków znajduje się ponad 10 tysięcy najrozmaitszych tego typu urządzeń przepompowujących wodę z niższego poziomu na wyższy...

Walka z morzem trwa od 500 lat.

Morze wymusiło na Holendrach demokrację, myślenie w kategoriach wspólnotowych, równościowych, bo każdy każdemu był potrzebny, a wszyscy wszystkim. Nie bez kozery mówi się, że Pan Bóg stworzył świat, a Holendrzy Holandię... Dawno temu nauczyli się perfekcyjnie organizować, myśleć samorządnie, czyli nie tylko o sobie, ale i o innych,

bo myślenie o innych to też myślenie o sobie. Pewnie stąd bierze się u Holendrów brak zgody na szkoły i szpitale prywatne... właśnie z nawyku solidarnościowego, odziedziczonego po przodkach, zawsze wspólnie walczących z najgroźniejszym wrogiem – morzem. Podobnie jak nie ma tu śladu tradycji tytułowania, hierarchizacji, podziałów społeczeństwa, tak bujnie przez wieki rozkwitających nie tylko w Polsce, ale i w Hiszpanii, w Anglii, w Niemczech...

Absolutny egalitaryzm! Wszyscy mają mieć równe szanse – bo wszyscy są w walce z morzem tak samo potrzebni, w przeciwnym razie wdrze się ono przez jakąś lukę – to jakby zasada główna, która weszła im w krew. Inna sprawa, że etos pracy, etyka kupiecka wiąże się też ściśle z surowym niegdyś protestantyzmem, po którym ostały się pewne wartości... Jak długo jeszcze pozostaną, skoro źródła religijności wyschły? To też pytanie, które zadawałem w trakcie rozmów na które nie otrzymywałem zadowalającej odpowiedzi. Wielu Holendrów uważa się za osoby wierzące, ale do kościoła nie chodzi i Kościół z całą hierarchią, papieżem, biskupami nie jest im – jak mówią – potrzebny do szczęścia. Mama Hansa twierdzi, że wie na „stówę”, iż Bóg istnieje, i wierzy w życie pozagrobowe, ale pośrednictwo kapłanów w rozmowie z Nim wydaje jej się zbędne.

Wyraziłem swoją wątpliwość. Bo jak to może być, że gdy winnych dziedzin Holendrzy są doskonale zorganizowani, co daje wspaniałe wyniki, to życie duchowo-religijne chcą puścić całkowicie samopas? Czy uważają, że ma się ono samo rozwijać i kształtować? – Widzę w tym jakąś nielogiczność i niekonsekwencję – znów dopuściłem do głosu wrodzoną mi przekorę.

...I czy na dłuższą historyczną skalę społeczeństwa mogą być szczęśliwe pozbawione tego, co Witkacy określał zmysłem metafizycznym czy perspektywą eschatologiczną? To pytanie mnie samego od dłuższego czasu trapi... Wydaje mi się, że jeśli w laickiej Holandii tak dobrze funkcjonują wartości etyczne, to przecież wynika to również z faktu, że odziedziczyli je po protestantyzmie, bo jeszcze trzy pokolenia wstecz było to społeczeństwo ortodoksyjnie wierzące...

Ale wróćmy do Zeelandii i trudnego sąsiedztwa Zeelandczyków z Morzem Północnym...

Szczególnie imponujące wydają się tu konstrukcje z otwieranymi i zamykanymi bramami. Mamy okazję podziwiać taką w okolicach sztucznie usypanej wyspy Neeltje Jens. Tutaj też był tak zwany mocny punkt, czyli mielizna w morzu, od której sypano wały, tworzone poldera, a następnie bramę wkopaną nawet 50 metrów w dno morza i rozdzielającą je na dwie połowy. W okolicy części znajdują się stanowiska na małże i kraby, które muszą mieć do życia słoną morską wodę. Dlatego konstrukcja ciągnąca się kilkaset metrów wzdłuż mostu-wału, po którym zbliżamy się autem do starego, zabytkowego miasta Weere – jest otwarta. Gdyby jednak fale w morzu podniosły się – a różnica poziomów fal przy morzu wzbudzonym i

spokojnym osiąga tu nawet 6 metrów – konstrukcja bramowa podniosłaby się i zamknęła zatokę.

Zanim zrobiliśmy postój w Weere, zwiedziliśmy wcześniej stary gród Willem – stad, osadzony na terenach delty, gdzie wpływają do morza trzy potężne rzeki z Renem na czele. Miasto otoczone fortyfikacjami obronnymi i labiryntem wałów, chroniących nie tylko przed morzem, ale i przed rzekami, przeciwstawiło się w 1790 Francuzom, a w czasie I wojny światowej wypełnione wodą fosy nie wpuściły tu Niemców. Zrezygnowali ze zdobywania fortecy; jednak podczas II wojny cały ten system fortyfikacyjny niewiele pomógł, bo Niemcy atakowali z powietrza, mieli motorówki, tak że mogli się śmiać ze staroświeckich zabezpieczeń.

W Willemstadt góruje nad miasteczkiem czterystuletni ratusz z placem i dybami w środku, do których wsuwamy głowy i robimy sobie zdjęcia, żeby poczuć się przez chwilę skazańcami, a po chwili... cieszyć się na powrót wolnością.

Dalej – ciasne uliczki, karczma licząca 350 lat, klomby, rezedy, ogródki i obowiązkowo stary kościół kalwinistyczny zamknięty na klucz.

Mieszkańcy to przeważnie chłopi i rybacy – skąpi i hardzi, zahartowani przez wiatry, bardzo powściągliwi w wyrażaniu uczuć, bo tego nauczyło ich twarde życie.

Z Willemstadt przemierzamy się w głąb Zeelandii, składającej się z wielu wysepek połączonych mostami-drogami usypanymi z ziemi, betonu, kamieni. – Wyobraź sobie – mówi Hans – że jedziemy po dnie, wszędzie tu było morze...

Kilkadziesiąt kilometrów dalej na plaży w Dreischor demonstruje nam w miniaturowej skali na piasku, w jaki sposób wydobywa się tu wysepki z morza, obsypuje wałami, wylewając wodę i obsuszając teren. Podobno jedna trzecia urodzajnej dziś ziemi w Holandii była kiedyś dnem morskim.

W Rotterdamie wykonano podobne jak w Neeltje Jens prace, tylko w o wiele większej, dla nas – którzy nie umiemy sobie poradzić z powodzią – wręcz niewyobrażalnej skali! Cały port jest tam otwierany i w razie niebezpieczeństwa zamykany.

Holenderska myśl techniczna związana z systemem inżynieryjno-wodnym osiągnęła szczyty, dlatego ich technologie są sprzedawane światu. Sześć lat temu mogłem się o tym przekonać, będąc w Singapurze, gdzie w okresach deszczowych, trwających nieraz parę miesięcy, ulice miast mogłyby ulec zalaniu. Singapurczycy opłacili właśnie Holendrów, by opracowali im projekt systemu kanalizacyjno-melioracyjnego.

cdn.

